

M. Grossman

SEXPOLIS



M. Grossman

Sexpolis

JAM 2015

© Copyright by JAM, 2015
© Copyright by M. Grossman, 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żaden fragment nie
może być publikowany ani reprodukowany bez pisemnej
zgody wydawcy.

Redakcja i korekta: Janina Granas-Olewińska
Projekt okładki: JAM

grossman@alternatywa.com

ISBN: 978-83-942595-4-9



*Wszystkie postaci i zdarzenia są fikcyjne.
Jakiegolwiek podobieństwo do prawdziwych osób
i sytuacji jest przypadkowe.*

Rozdział 1

– Nie puścimy tego gówna. Kto to w ogóle jest? Pajac, nikt więcej. To nie zainteresuje naszych czytelników.

– Ależ panie redaktorze, tematy mają uprzedzać fakty, prawda? I taki jest właśnie mój reportaż. Jeśli trzeba, poprawię go, trochę podrasuję. O tym człowieku będzie jeszcze głośno, więc lepiej, żebyśmy napisali o nim pierwsi.

– Dobrze, spróbuj poprawić, ale w bieżącym numerze już się nie zmieści.

Tak zakończyła się rozmowa z naczelnym. Wyszedłem z gabinetu wkurzony. Zmarnowałem weekend i mnóstwo benzyny, bo Jan Lisoń robił kampanię w iście amerykańskim, jak na polskie warunki, stylu. Świątek czy piątek spotykał się z ludźmi. I to kilka razy dziennie. Funkcjonował jak dobrze zaprogramowany cyborg. Jednak nie Lisoń pierwszy mnie zaintrygował, lecz ludzie, których przyciągał jak magnes. Na spotkania z nim przychodziły tłumy. Gdy wszedłem na wiec i zacząłem słuchać, olśniło mnie. Facet poruszał tematy, o których nie chcieli bądź bali się mówić inni politycy. W Gdyni, Słupsku, Koszalinie... wszędzie zgromadzeni bili mu brawo. Ba, były nawet owacje na stojąco. Niebanalna postać i ciekawy ruch społeczny, który szedł się do zdobycia władzy w Polsce. Bo takie właśnie aspiracje miał lider formacji, Jan Lisoń.

Umówiłem się z nim na rozmowę w trakcie kampanii, którą prowadził na Pomorzu. Liczyłem, że tekst na tym zyska. Nie pomyliłem się, przewodniczący stowarzyszenia „Teraz Zmiana” mówił barwnie, nie unikał trudnych tematów, a wręcz je prowokował. Był pewny siebie. Kreował się na Larry’ego Flynta polskiej sceny politycznej. A przynajmniej próbował się na nią wdrapać. W mediach wykpiwany, na ulicy hołubiony. Muszę przyznać, że intrygował.

Artykuł wyszedł znakomicie. Przyniosłem do redakcji materiał wraz ze zdjęciami przekonany, że naczelny przyjmie go z zadowoleniem. Jednak coś mu się nie spodobało. Co? Nie wiedziałem. Wściekły wracałem do domu. Zakorkowane miasto podkreślało jeszcze mój podły nastrój. Samochód włókł się niemiłosiernie, a ja używałem słów uznawanych powszechnie za niecenzuralne. Raz na jakiś czas, z powodów dla mnie i reszty zespołu redakcyjnego niezrozumiałych, stary odrzucał nawet dobre teksty. A ten przecież był niezły. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości.

Byłem młodym, ambitnym dziennikarzem, który od pół roku pracował w jednym z najbardziej znanych ogólnopolskich tygodników. Lubiłem swoją pracę. Dzięki niej poznawałem wielu ciekawych ludzi i zjeżdżałem pół Polski. Miałem ambicje i marzenia, a ta profesja pozwalała mi je realizować. Wcześniej, zaraz po ukończeniu studiów dziennikarskich, zatrudniłem się w korporacji na stanowisku kierownika do spraw Public Relations.

Wytrzymałem tam kilka lat. W dniu swoich trzydziestych urodzin na spotkaniu z menadżerami poczułem, że albo puszczę pawia, albo się zwolnię. Wybrałem to drugie.

Nie żałowałem tej decyzji. Nawet dziś, gdy oddałem świetny reportaż o Lisoniu i jego aktywności politycznej, za co zostałem zrugany. Na szczęście porażki miały na mnie intensywny, ale krótkotrwały wpływ. Dopingowały do jeszcze większego wysiłku.

Ślęczałem nad tekstem do późnego wieczoru. Próbowiałem coś zmienić, dodać więcej szatana. W końcu uznałem, iż pierwotna wersja była dobra, nie zmieniłem ani słowa i wyłączyłem komputer. Tak czy inaczej, będę musiał poprawić artykuł, jeśli ma zostać opublikowany. Teraz nie miałem już jednak do tego serca. Zapaliłem papierosa. Czasem mi pomagał w trudnych sytuacjach.

Zadzwoił telefon. To kumpel z redakcji, Bogdan Michalik, zastępca naczelnego. Widać nie mógł spać, pewnie znów pokłócił się ze swoją kobietą. Chcąc nie chcąc, odebrałem.

- Co robisz?
- Prawie śpię, miałem ciężki dzień.
- Naczelnny spuścił twój tekst, dobrze słyszałem?
- Spuścił.
- To wpadnij, napijemy się wódeczki.
- Daj żyć... jest już po północy.
- Eee, nie marudź, przekonam starego, przeczytałem ten reportaż zaraz po twoim wyjściu. Dobry jest.

No wpadnij, bo sam nie będę pił. Żona się wyniosła, kimniesz u mnie.

– Niech cię szlag! Dobra, zamówię taksówkę, będę za pół godziny.

– Zuch chłopak. Czekam.

Szef bardzo lubił Bogusia, wręcz miał do niego słabość. A mnie zależało na tym artykule. Wiedziałem, że nachlam się jak świnia, a rano nie będę w stanie normalnie funkcjonować. Ale pijąc wódkę w towarzystwie Bogdana, mogłem zrobić więcej dla mojego tekstu niż przez samodzielne poprawianie go w nieskończoność.

* * *

Siedzieli w głębokich, skórzanych, stylowych fotelach zaciszego gabinetu. Ze sprzętu nagłośnieniowego płynęły dźwięki operowej arii.

– Wiesz, że będziesz musiał kompletnie zamknąć swoje biznesy?

– Ale oficjalnie czy tak po mojemu? – Lisoń był gotowy na diametralną zmianę w życiu.

– Jak uważasz. W papierach natomiast musi się wszystko zgadzać. To warunek *sine qua non*.

– Jestem w trakcie formalizacji kilku ostatnich umów. Niewiele mi już zostało. Do końca miesiąca będę jak żona Cezara. Ha, ha, ha – Lisoń śmiejąc się, sięgnął po

butelkę wina Settimo Barolo Riserva Rocche 2004 i nalał sobie oraz gościowi.

– Na razie to tyle, spieszę się. Spróbuję tylko tego wyśmienitego wina. Dobry rocznik?

– Najlepszy, Konradzie, najlepszy... – Lisoń był w doskonałym nastroju.

Kilkanaście godzin później, na drugim końcu Warszawy, redaktor naczelny politycznego tygodnika przeprowadzał rozmowę ze swoim zastępcą.

– Sprowadzisz młodego na złą drogę. Nie może tyle chlać, szkodzi mu. Widziałeś, jak wczoraj rano wyglądał? Nie wstyd ci? – lekko ofuknął Bogdana, gdy ten pojawił się w jego gabinecie.

– Ma pan rację, szefie, ale czasami trzeba zadbać o młodą kadrę – odpowiedział Bogusław Michalik i uśmiechnął się. Stary nawet jeśli go opieprzał, to i tak lubił. I chyba nic nie było w stanie tego zmienić.

– Co proponujesz do numeru? Jutro kolegium, a teksty nie powalają. Może byś sam coś napisał na jedną kolumnę?

Szef miał dobry nastrój. Michalik wyczuł, iż nadszedł idealny moment.

– Dałbym reportaż Dymarczyka, jest trochę inny, ale przez to ciekawy.

– Nie chcę robić reklamy temu klaunowi, jak mu tam, Lisoniowi. Gość jest w trakcie kampanii, ale ociera się o próg śmieszności... i błąd statystyczny. – Naczelny zarechotał.

– Jeśli w polityce pojawiło się dziwadło, tym bardziej powinniśmy o czymś takim napisać. Zgodnie z profilem naszej gazety...

– Dobrze, niech ci będzie. Przekonałeś mnie. Ale siadź z Dymarczykiem, bo tekst jest zbyt łagodny, za grzeczny. Dodaj pazura, niech młody się uczy. Możemy to puścić w najbliższym numerze, ale dopiero po twoich poprawkach.

– Dziękuję, zaraz z nim siadę i jutro przed kolegium materiał będzie gotowy.

Bogdan uściśnął przełożonemu dłoń i opuścił gabinet.

* * *

– Zniszczę tego gnoja, teraz wymyślił sobie politykę, kasę wyprowadził, a mnie chce puścić z torbami. Nie pozwolę mu na to. Nigdy! – Jolanta Banaszak-Lisoń była kobietą o wybuchowym charakterze. I wiedziała, czego chce.

– Nie jest łatwym przeciwnikiem. Ale z pewnością w trakcie kampanii będzie chciał uniknąć czarnego PR-u, więc daję nam to do ręki argument, którym...

– Będzie można go szantażować? Idę na wszystko, panie mecenasie.

– Nie używałbym takich słów. Mamy po prostu świetny argument przetargowy, pani Jolu. I tak go traktujemy – powiedział adwokat i podał klientce sporządzony przez siebie pozew, który czekał tylko na jej akceptację. Niedługo zresztą.

Kilkaset kilometrów dalej, w tym samym czasie, miała miejsce równie emocjonalna dyskusja. Lisoń w swoim gabinecie prowadził telefoniczną rozmowę z jednym z terenowych działaczy, który mocno go irytował. Przysłuchiwał się jej Jordan Jaskulski, który był jak cień przewodniczącego. Nie towarzyszył mu tylko w kiblu.

– Jak przebiega zbieranie podpisów na listach poparcia? Ilu ludzi jest w terenie, na ulicach? – Lisonia rozszalały emocje.

Po drugiej stronie ktoś długo się tłumaczył.

– Jak to: dokładnie nie wiesz? Za to ci płacę, żebyś, kurwa, wiedział, chłopie! – Lisoń przechodził do konkretów. Prosto i dosadnie tłumaczył rozmówcy zasady, na jakich opiera się polityka.

– Nie dołożę już ani złotówki. Muszę mieć przynajmniej o połowę więcej podpisów niż wymagana liczba. Bo nigdy nic nie wiadomo. No i w Szczecinie sprawdź tego idiotę. Doszły mnie słuchy, że listy, które nam przekazał, mogą być lewe.

Stojący w pewnym oddaleniu Jordan Jaskulski patrzył na przełożonego z niekłamanym podziwem i cierpliwie czekał. Lisoń tymczasem wrzeszczał do telefonu.

– Nie, nie ma szans, trzeba tam będzie kogoś innego znaleźć! Przecież ten debil nie potrafi się nawet wystawić! Chcesz go wystawić na jedynekę?!

Przewodniczący kiwnął ręką na Jaskulskiego, by podszedł, dał mu znać, że właśnie kończy rozmowę.

– Nie wiem, kurwa, może kogoś się znajdzie. Czasu jest coraz mniej. Musi to być postać, o której będzie głośno. Każda minuta w głównych serwisach to setki tysięcy złotych, darmowa reklama tak bardzo nam potrzebna. Rusz głową... kombinuj! – wydał dyspozycję i rozłączył się.

Wciąż był rozdrażniony. Najpierw spojrzął na zegarek, potem na Jordana i powiedział: – Siadaj i poczekaj chwilę, muszę się spakować. Kurwa! Zaraz po wyborach trzeba będzie rozwiązać tę strukturę, cholery z nimi można dostać.

Jaskulski nie odezwał się ani słowem, wpisał tylko do swojego telefonu przypomnienie na październik: „Rozwiązać okręg nr 8”.

Przewodniczący wrzucił do torby parę rzeczy i pstryknął palcami na Jordana. Wsiedli do samochodu i pojechali do Wyszkowa, gdzie na godzinę osiemną zaplanowano zebranie działaczy stowarzyszenia „Teraz Zmiana”. Było kilka minut po trzeciej. Tym razem Lisoń nie powinien się spóźnić.

Spotkanie było chaotyczne. Jak wszystko, co robili na początku działalności. Kawiarnia „Pod Różami” zwykle świeciła pustkami. Dziś było inaczej. Zdziwiona obsługa nigdy nie odnotowała tutaj takiego obłożenia. Pracownicy pospiesznie przynosili z zaplecza dodatkowe krzesła. Jednak część przybyłych i tak musiała stać. Z półgodzinnym, jak to miał w zwyczaju, opóźnieniem przyjechał lider. Długi, ciemny płaszcz, okulary, których wcześniej nie

nosił, dodawały mu powagi. Ludzie zebrani w knajpie zamilkli, ci odważniejsi rzucili się uścisnąć dłoń szefowi. Przewodniczący nie przyszedł sam. Towarzyszyła mu wierna brygada najbliższych współpracowników: Jakub Szymes, Karol Rolski i Adam Pałkowski. Byli z nim na każdym spotkaniu. Również w takiej zapadłej dziurze jak ta, w której nigdy dotąd nie pojawił się znany z telewizora polityk. Janka Lisonia często pokazywali w mediach. Kelnerka rozpoznała go od razu, chociaż nie pamiętała nazwiska. Dyskretnym ruchem rozpięła jeden z krępujących biust górnych guzików, poprawiła piersi i pospieszyła przyjąć zamówienie.

– Szanowni. Witam was bardzo serdecznie. Dziękuję, że przybyliście tak licznie. Przepraszam za spóźnienie, ale śpiam po kilka godzin na dobę. Wciąż jestem w trasie. Nie będzie łatwo rozbić układ politycznej bandy, która wciąż jest u władzy, ale mocno wierzę w to, iż z waszą pomocą tego dokonamy.

W sali wybuchły oklaski. Działacze czekali na kolejne słowa przewodniczącego stowarzyszenia. W tym momencie przy stoliku pojawiła się kelnerka.

– Kawa, herbata, może piwo? – zapytała.

– Ja bym się napił piwa – odezwał się jeden z lokalnych liderów, Andrzej Sumka, i przygładził sumiaste wąsy.

– Ale ja pytałam pana... pana premiera – dziewczyna nadal nie mogła sobie przypomnieć, kim jest gość, którego kojarzyła z telewizji.

– Nie jestem jeszcze premierem. Wszystko w swoim czasie. Napiję się kawy. Może latte. A nazywam się Lisoń. Jan Lisoń. Bardzo mi miło panią poznać. I proszę pamiętać o nas przy najbliższych wyborach.

– Nie mamy tego, o co pan prosił. Może mogę zaproponować kawę z mlekiem, z ekspresu? I oczywiście będę o panu pamiętała. Tak po prawdzie, praca w tej knajpie nie jest szczytem moich marzeń – mówiąc to, kelnerka mrugnęła znacząco.

– Panie kolego... – Jan Lisoń zwrócił się do wąsatego działacza, który siedział w pobliżu. – Niech pan poda pani swoją wizytówkę. I w jej życiu powinno się coś zmienić. Na losie każdego obywatela nam zależy, prawda?

– Losie i głosie... – wąsacz zaśmiał się z własnego żartu, ale natychmiast spoważniał, gdy zobaczył, że lider nie był zadowolony. Podał wizytówkę kelnerce.

– Bardzo dziękuję. A jak się nazywa wasza partia? Bo muszę wiedzieć, na kogo zagłosować. No i kiedy będą wybory?

– „Teraz Zmiana”, a wybory będą w październiku, droga pani. Poproszę więc o tę kawę, dla mnie i jeszcze trzy dla moich kolegów – zdawkowym uśmiechem dał do zrozumienia, iż ma ważniejsze sprawy na głowie.

– A ja jednak proszę o piwo. – Wąsacz nie lubił kawy. Lubiał piwo.

Przewodniczący usiadł, a do zebranych zwrócił się Adam Pałkowski: – Macie ustalone nazwiska kandyda-

tów na listę wyborczą w waszym okręgu? I oczywiście kandydatek? Musi być dużo kobiet. Najlepiej znanych. Lekarki, nauczycielki. Szukamy mądrych i aktywnych. Nie mamy wiele czasu, jutro jesteśmy w kolejnych czterech miastach. To musi być sprawnie zorganizowane.

Pałkowski był furiatem, ale na spotkaniach organizacyjnych sprawdzał się doskonale. Skracał przebieg mitingów do niezbędnego minimum.

– Nazwiska miał przygotować Nowak, ale strzelił focha, bo usłyszał, że dostanie najwyżej drugie miejsce na liście, a chciał pierwsze – rzucił ktoś z sali.

– Tak być nie może. Potrzeba tutaj sprawnego lidera. Może pan się tym zajmie? – Pałkowski zwrócił się do Sumki, który zdążył już wypić pół piwa. Odstawił je, otarł pianę z wąsów i odpowiedział zadowolony: – Oczywiście, do końca tygodnia jestem w stanie sporządzić listę nazwisk. Dwadzieścia dwie osoby, najlepsi ludzie, znani, rozpoznawalni w naszym regionie.

– No a kto będzie jedynką? – rzucił w stronę Pałkowskiego ktoś z głębi sali. – Bo chrapkę ma na to właśnie kolega Sumka – stwierdził szeregowy działacz i spojrzał znacząco na grubasa z wąsami.

– A dlaczego nie? Mam właściwe kwalifikacje, od lat pracuję w stowarzyszeniach społecznych, wygłaszam nawet prelekcje na uniwersytetach. Lepszego kandydata nie znajdziecie – wásacz odparował pewnym siebie głosem.

Przede wszystkim miał wysokie aspiracje. Co do kwalifikacji, to dobrze mówił po polsku, nie miał wad wymowy... I umiał kalkulować. Wiedział, że przy przekroczeniu progu pięciu procent w skali kraju ugrupowanie dostanie się do Sejmu, a on z pozycji numer jeden zyska największe szanse na mandat poselski. Polscy wyborcy rzadko zakreślali nazwiska kandydatów z pozycji trzy, pięć czy osiem. Najczęściej stawiali krzyżyk przy jedynce lub, o dziwo, przy ostatnim nazwisku. Sumka znał tę zasadę. Wiele lat temu jakoś udało mu się ukończyć politologię.

– Dobra, naprawdę nie ma czasu na przepychanki czy obrażanie się – uciął dyskusję Lisoń. – Potrzebujemy ludzi zdeterminowanych, samodzielnych, z doświadczeniem i wiedzą. Część z was tu obecnych nie zostanie posłami czy posłankami. Ale przecież ci, którzy dostaną się do parlamentu, będą potrzebować współpracowników, asystentów. A zatem na pewno znajdziecie swój model samorealizacji. Zapewniam.

Przewodniczący stowarzyszenia potrafił być przekonujący. W sali zrobiło się cicho, wszyscy, łącznie z kelnerką za barem, chłonęli każde słowo charyzmatycznego lidera.

– No więc ustalone. Kolega Sumka jest zobowiązany do dostarczenia listy nazwisk kandydatów oraz zarejestrowania jej w siedzibie Państwowej Komisji Wyborczej w waszym mieście, gdy tylko przekształcimy stowarzyszenie w partię. To kwestia dnia, może dwóch. Kto jest przeciw, ręka w górę – włączył się Pałkowski. Był jak tor-

nado. Zanim u kogokolwiek zdążyły napiąć się mięśnie przedramienia, dodał: – Nie widzę. W takim razie najważniejsze sprawy mamy ustalone.

Zwrócił się w stronę przewodniczącego.

– Janie, proszę cię, kontynuuj – powiedział i usiadł.

– A zatem w sprawach organizacyjnych kontaktujcie się z kolegą Sumką – kontynuował Lisoń. Spojrzał na niego i dodał: – Andrzej, bardzo ci dziękuję. Potrzeba nam ludzi takich jak ty.

Podszedł do wąsacza i poklepał go po plecach. Nie uściśnął mu dłoni, bo wąsacz kurczowo trzymał pusty pokal po piwie.

Lider mówił jeszcze kilka minut o tym, że ugrupowanie ma duże szanse w wyborach i że nienawiść głównych mediów do jego działalności politycznej jest atutem, a przekroczenie progu wyborczego, magicznych pięciu procent, nie stanowi już dla przyszłej partii problemu. Badania prowadzone przez niezależnych ekspertów wynajętych przez stowarzyszenie pokazują wciąż rosnące poparcie, co oznacza, że z każdej listy, w każdym okręgu, do Sejmu może dostać się nie jeden, ale nawet dwóch lub trzech kandydatów. Jest więc szansa na to, by być znaczącą siłą w parlamencie.

– Zwycięstwo jest w waszych rękach. Wszystko jest możliwe! Nie dawajcie wiary w sondaże, które widzicie w głównych wiadomościach. Chcą nas zabić, żebyśmy nie zdołali pokazać, na co nas stać. Nie uda się to! – tymi

słowa zakończył spotkanie. Wyszedł z sali, unosząc w górę dłoń z rozstawionymi w literę V palcami, a ludzie zarażeni jego polityczną żądzą zwycięstwa przez dłuższy czas nie mogli dojść do siebie.

Przed knajpą przewodniczący zatrzymał się na moment. Stała tam kelnerka i paliła papierosa

– Idźcie do samochodu. Będę za dwadzieścia minut. – Spławił swoich towarzyszy.

– Chce się pan pożegnać? – Kokieteryjnie zatrzepotała rękami.

– Zastanawiam się, czy zechciałaby pani pracować w naszym biurze?

– Pewnie, że tak. Choćby dziś.

– Dziś nie, raczej w przyszłym miesiącu. Jest w tym lokalu bardziej ustronne miejsce, gdzie moglibyśmy chwilę... hm... porozmawiać? – Lisoń cały czas gapił się na jej spory biust.

– Tak, na zapleczu mamy pomieszczenie gospodarcze.

– Dziewczyna była gotowa podjąć wyzwanie.

Poprowadziła lidera w dyskretne miejsce. Nie było komfortowe, ale małe, ciche i przytulne. W kącie stały szczotki do zamiatania, mopy i środki czystości. W powietrzu unosił się zapach chloru.

– Nasza partia jest bardzo nowoczesna... Mogę ci mówić po imieniu?

– Pewnie, że tak. Elwira. Ja też jestem nowoczesna.

– Pracując dla mnie, musiałabyś się liczyć z nietypowymi zadaniami. – Nadal beczelnie patrzył na jej piersi.

– Panie przewodniczący, życie... Idę na każdy układ.
– Gość jej się podobał. Poza tym bardzo chciała wyrwać się z tej dziury.

– To klęknij...

Nie zadawała pytań. Była zdecydowana na wszystko. Lisoń stękał i sapał, pilnie obserwując zmagania klęczącej przed nim kelnerki.

– A teraz odwróć się!

Miała krótką spódniczkę, którą lider błyskawicznie zadarł. Dziewczyna jęknęła, a on zaczął posuwać ją jak młodą klacz.

– Dobrze ci było? – Zapytał ze zwykłej, ludzkiej przyzwoitości.

– Podobało mi się... – Elwira wiedziała, że świat to nie bajka – da mi pan swoją wizytówkę? – Pospieszenie zapinała guziki potarganej bluzeczki.

– Masz przecież wizytówkę od pana Sumki. Skontaktuj się z nim w przyszłym tygodniu, a ja dopilnuję, żebyś dostała tę pracę.

Klepnął dziewczynę w tyłek i poszedł.

– Janek, co tak długo? – Koledzy znali jego zwyczaje, ale byli zniecierpliwieni.

– Strasznie walisz Domestosem. – Zdegustowany Jaskulski pociągnął nosem i otworzył w samochodzie okno.

* * *

– Naczelnny musi cię lubić – powiedziałem do Bogdana. Cieszyłem się, że pomógł mi przepchnąć tekst.

– Widzisz, dwie poprawki i materiał wyszlachetniał.

– Jakie dwie? Dodałeś tylko jedno zdanie na końcu reportażu.

– Ale przyznaj, było mocne. – Zdjął okulary i przetarł powieki.

– Owszem – zgodziłem się. Nie miałem zamiaru dalej dyskutować. Potrzebowałem kasy, a artykuł zajął dwie pełne kolumny.

– Tomaszku, masz numer telefonu do Lisonia?

– No pewnie, że mam. Robiłem przecież z nim wywiad.

– Prześlij mi SMS-em, OK? Potrzebuję dla szefa.

– Przecież mówił, że to pajac...

– Chce go zaprosić na obiad.

– Po co?!

– Nie wiem, nie pytaj, wiesz, jaki jest stary.

– Zaraz ci wyślę. Wyrzuć mnie pod „Arkadią”. Dziewczyna tam na mnie czeka.

– Nowa?

– Wciąż ta sama.

– Teraz rozumiem, czemu się tak odpicowałeś. Rzadko cię widuję w marynarce. – Roześmiał się życzliwie.

Zjechał na boczny pas, skręcił w prawo i zatrzymał się na chwilę w miejscu nie do końca dozwolonym. Wysiadając, machnąłem mu ręką na pożegnanie. Lubiałem Bogdana. I byłem mu cholernie wdzięczny.

Z Anną spędziłem całe popołudnie oraz większą część wieczoru. Następnego dnia miała zaliczenia na uczelni. Czekala mnie samotna noc.

Rozdział 2

– Dzień dobry, panie Dymarczyk, mogę zająć chwilę?
Była dopiero ósma rano, niedziela, więc nie bardzo kumałem, kto dzwoni.

– A z kim mam przyjemność? – zapytałem.

– Jan Lisoń, przeprowadzał pan ze mną wywiad. –
W głosie usłyszałem nutę rozczarowania.

– Tak, oczywiście, pamiętam. Przepraszam, pracowałem do późna...

– Bardzo chciałem panu podziękować za świetny reportaż.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Wiem, że przekształciliście już stowarzyszenie w partię polityczną. Gratulacje.

Lisoń wyraźnie czegoś chciał. Domyślałem się tego, tylko nie wiedziałem jeszcze, o co mu chodzi.

– Ale dzwonię w innej sprawie.

– Tak? W czym mogę panu pomóc?

– Zamykamy listy wyborcze. Będę mówił wprost. Na jednej z nich widziałbym pana. W Olsztynie.

– Mnie?! Od polityki trzymam się z daleka. Z wewnętrznego przekonania. A nawiasem mówiąc, dlaczego akurat tam? – Roześmiałem się.

– Wszystkie inne listy mamy już pozamykane, poza olsztyńską, którą chcemy dopiąć do piątku. I przyznam, bardzo bym chciał, żeby pan rozważył moją propozycję.

Potrzeba nam takich ludzi jak pan. W przeciwnym razie w Polsce nic się nie zmieni. Proszę od razu nie odmawiać i z podjęciem decyzji poczekać kilka dni. W czwartek zadzwoni do pana ktoś z naszych działaczy.

– Dobrze, obiecuję to przemyśleć.

Pożegnał się grzecznie i rozłączył się, a ja pomyślałem: „Popierdoliło gościa. Tylko tego mi do szczęścia brakuje”. Roześmiałem się i położyłem się na kanapie, żeby jeszcze z godzinę pospać.

W poniedziałek w redakcji pojawiłem się już o dziewiątej rano. Zdecydowanie zbyt wcześnie, bo prócz sprzątaczk i sekretarki nie było nikogo. Zaparzyłem kawę, opróżniłem przepelnioną popielniczkę w pokoju redakcyjnym, uporządkowałem swoje biurko, to znaczy przeniosłem górę papierów z jednego rogu blatu na drugi. Uznałem, że mogę zacząć pracę. W tym momencie sekretarka przyniosła naręcze gazet.

– Jeszcze pachnące, chcesz przejrzeć? – zapytała.

Lubiłem Zośkę, była sympatyczną, normalną dziewczyną.

– Tak, dziękuję. Pooglądałam obrazki, na czytanie czegokolwiek nie jestem jeszcze gotowy. Muszę wypić kawę. Może i tobie zrobić?

– Nie dziękuję. Jedna na dzień wystarczy – powiedziała i wyszła. Po chwili zajrzała ponownie i dodała: – Zapuszczasz brodę? Ogoliłbyś się. Wprawdzie przypominasz Maćka Zakościelnego, ale jemu z brodą jest o wiele lepiej – roześmiała się figlarnie i zniknęła.

Byłem tak zaspany, że rzeczywiście zapomniałem się ogolić. I nie wiadomo czemu zmęczony. Nie miałem siły niczego czytać. Przede mną godzina względnego spokoju. Pałęm papierosa, siorbałem kawę i przewracałem strony pism. Zatrzymałem się na wielkich, kolorowych sondażach. Słupek przypisany do partii Jana Lisonia znacząco wzrósł. „Teraz Zmiana” osiągnęła już cztery procent.

„No proszę, miałem nosa. Mogą namieszać” – pomyślałem zadowolony. Będzie o czym pisać, tym bardziej że Lisoń nie przypominał żadnego z typowych polskich polityków. Był za legalizacją prostytucji, lekkich narkotyków i za szeroko rozumianą wolnością obyczajową. Mówił też trochę o gospodarce i ekonomii, ale fakt – w naszym kraju takie pierdoły jak gospodarka mało kogo interesowały.

Odłożyłem gazety na bok i zapomniałem o sprawie. Odpaliłem komputer i zacząłem przeglądać swoje bieżące tematy do najbliższego numeru. Miałem do opracowania wywiad z K.S. Rutkowskim, słabo znanym, a świetnym pisarzem, i tekst o pazernym proboszczu, który zawyżał stawki za pochówki, doprowadzając tym do wściekłości potulnych dotąd parafian. Klepiąc w klawiaturę linijki tekstu, nie zauważyłem, jak redakcja zaczęła żyć właściwym jej rytmem. Gdy wypaliłem pół paczki, wywiad był gotowy. Podniosłem wzrok i spostrzegłem, że pokój jest pełen ludzi. Zacząłem się zastanawiać, czy

w ogóle się z kimś przywitałem, ale nawet jeśli nie, oni mieli to gdzieś.

Zapisałem dokument i przestałem do drukarki, która wypłuła z siebie kilka stron. Spiąłem artykuł i zadowolony położyłem na biurku.

– Zasuwasz do szefa, właśnie przyjechał i chce cię widzieć – cipowaty Waldek rzucił mi krótkie info.

– Nie wiesz, o co chodzi?

– Czy ja wyglądam na wróżkę? – Waldek mnie raczej nie lubił. Zresztą z wzajemnością.

– Nie wyglądasz... a szkoda. Zawsze marzyłem o tym, by przelecieć zmysłową wróżkę.

W odpowiedzi redakcyjny kolega wyciągnął w moim kierunku środkowy palec.

Włożyłem wydruk do szuflady i poszedłem do gabinetu szefa. Zastanawiałem się, czego może ode mnie chcieć. Ale też, podobnie jak Waldemar, nie byłem wróżką.

– Zamknij drzwi i siadaj.

Naczelny nie był w dobrym nastroju. Zresztą tak naprawdę nigdy nie wiedziałem, jaki miał humor. Był jak Apacz, który nie zdradzał mimiką aktualnego samopoczucia. Ale też nie zdarzyło się, żeby przy okazji naszych rzadkich rozmów kazał zamykać drzwi. Zacząłem się martwić.

– Ktoś miał uwagi do moich ostatnich tekstów? Jakaś skarga? Niemożliwe...

– Masz rację, niemożliwe. Za delikatnie piszesz, żeby na ciebie wysyłać anonimowy donos pełen kurew i chu-

jów lub choćby napluć. Ale kulturalnych tekstów też potrzebujemy. Jednak ja nie o tym. Wiem, że dostałeś ofertę...

– ???

– ...od Lisonia, proponował ci miejsce na liście wyborczej, z olsztyńskiego.

– A skąd pan... – nie dokończyłem, bo przypomniałem sobie o obiedzie, na który naczelny miał zaprosić lidera partii „Teraz Zmiana”.

– Wiem i już. Co za różnica? Się pracuje w gazecie, się wie. Zatem otrzymałeś też propozycję od wydawcy. Nie do odrzucenia.

– Wyrzuca mnie pan czy jak?

– Nie, to możliwość awansu. No i szansa na znacznie więcej ciekawej pracy, którą przecież lubisz. Aktualnie masz umowę terminową. Dostaniesz bezterminową i dużą podwyżkę, ale pod warunkiem, że się znajdziesz na liście Lisonia.

– W jakim celu? A co, jeśli zostanę posłem?

– Nie obawiaj się, jedyński ma już obsadzone, a w polskiej demokracji jest zasada: kto na górze, ten wygrywa. Zresztą i tak istnieją niewielkie szanse, że jego partia przekroczy próg wyborczy. A cel jest bardzo prosty. Znajdziesz się w samym centrum wydarzeń. Dzisiaj dostęp do informacji jest na wagę złota...

Przerwał na moment, jakby chciał podkreślić wagę tego, co zaraz usłyszę.

– No i będziesz pisał... i to do dwóch tytułów należących do naszego koncernu. Wymyślisz też sobie pseudonimy. Pod jednym będziesz publikował w tej samej gazecie co dotychczas, teksty bardzo przychylne Lisoniowi, np. reportaże. Drugi pseudonim nadasz autorowi wrednych, napastliwych felietonów, które trafią do „Opinii”.

Szef mówił dalej o tym, że gdy dostanę się na listę, zbliżę się do formacji Lisonia, może nawet zacznę działać w strukturach partyjnych, z pewnością będę miał dużo ciekawych newsów z pierwszej ręki.

– To niezły świr, a gazeta musi z czegoś żyć. Im więcej szaleńców w polskiej polityce, tym lepiej dla nas – stwierdził. – Trzeba mu więc pomóc. Lisoń już otrzymał moje zapewnienie, iż nasze pismo, w takiej czy innej formie będzie go wspierało. O drugim tytule nic nie wie, rzecz jasna. – Zaśmiał się.

Zamurowało mnie. Plan był tak prosty, że aż genialny. Tak genialny jak jego pomysłodawca Szymon Machnik. Dlatego właśnie ludzie robili dla niego, a nie odwrotnie.

– A jeśli gość się zorientuje? – zapytałem.

– Nie bądź dzieckiem. Rzeczywiście facet jest inteligentny, ale mając to na uwadze, dla twojego bezpieczeństwa wyrzucę cię z roboty. Jakiś powód się znajdzie. Uwiarygodni cię to w jego oczach. Zyskasz nawet jeszcze większe zaufanie. Oczywiście po cichu dostaniesz angaż na warunkach, jakie zaproponował ci wydawca. Pasuje?

– Chyba nie mam wyboru...

– Cieszę się, że się rozumiemy. W kadrach odbierz zaklejoną kopertę ze swoim nazwiskiem. Jest w niej nowa umowa. Reszta zespołu zostanie poinformowana, iż cię wylałem. A ty się masz tak zachować, żeby było wiarygodnie.

– I jeszcze jedno – dodał. – Bogdan wie o naszym planie, będziesz mu wysyłał teksty, ale nie na skrzynkę redakcyjną. Jeśli zajdzie konieczność, to się spotkamy od czasu do czasu. Szykuje ci się niezła zabawa. Szkoda, że lata już nie te. Zazdroszczę ci. A teraz, młody, zabieraj tyłek i do roboty.

Podał mi rękę. Nie do końca docierało do mnie, w jaki kanał zostałem wpakowany. Co do jednego naczelnym miał rację. Zabawa się dopiero zaczynała.

Opuściłem redakcję w roli banity, z miną skazańca. Zadzwoiłem do Bogdana. Nie odbierał. W rękę miałem torbę z laptopem i kopertę, którą odebrałem w kadrach. Pojechałem prosto do domu. Wjechałem windą na siódme piętro. Byłem jak w malignie. Musiałem się wziąć w garść. Zadzwoiłem więc do Anny, żeby do mnie przyjechała. Nie chciałem teraz siedzieć w domu sam. Znaliśmy się dopiero kilka miesięcy, ale miała na mnie kojący wpływ. Dobrze się rozumieliśmy. Wyciągnęła mnie z doła po rozstaniu z poprzednią partnerką, z którą spędziłem blisko pięć lat – dobrze rokujący związek w dramatyczny sposób skończył się fiaskiem. Anna sprawiła, że znów potrafiłem się uśmiechać.

Usiadłem przed telewizorem. Zaczynał się serwis informacyjny. W pierwszej trójce znalazł się materiał o Janie Lisoniu i jego partii. Zmieniłem szybko kanał na Discovery, leciał program o gorylach. Zawsze budziły moją sympatię. Znacznie większą niż politycy. Pogłośliłem i poszedłem do kuchni przygotować naprędce kolację, jednocześnie słuchając o seksualnych zwyczajach sympatycznych futrzaków. Gdy kończyłem, zadzwonił domofon. Wyłączyłem telefon, nie chciałem, żeby ktokolwiek nam przeszkadzał.

Postanowiłem Anię trochę wprowadzić w bieżącą sytuację. Atmosfera wydawała się do tego wprost idealna. Piliśmy wino, ona opierała głowę na mojej piersi, a ja delikatnie gładziłem ją po włosach. Zanim jednak się odezwałem, zaszczebotała: – Coś ci powiem. Będziesz ze mnie dumny!

– Co takiego?

– Tyle razy mi mówiłeś, żebym robiła coś więcej niż tylko chodziła na wykłady i zakuwała do egzaminów.

– Dalej twierdzę, że w życiu należy szukać nowych możliwości, wyzwania, bo wtedy jest ciekawsze.

– No więc posłuchałam cię i dziś byłam na spotkaniu młodzieżówki tej nowej partii... Lisiaka. Zapisałam się. Cieszysz się?

Nie wiedziałem, czy to fatum, w każdym razie uznałem, iż Lisoń atakuje mnie ze wszystkich stron i chce zawładnąć moim życiem. Był jak czarnoksiężnik z Oz, który za-

krzywił rzeczywistość. Głos uwiązał mi w gardle. Mimo to zdecydowałem się opowiedzieć Ani swoją historię. Ale nieco inaczej, niż planowałem jeszcze chwilę wcześniej.

– Szef tej partii nazywa się Lisoń, a nie Lisiak. Zaproponował mi kandydowanie z ich list. I chyba się zgodzę.

– Jak to? Będiesz połem? A gazeta?

– No właśnie, w gazecie już nie pracuję. Niestety.

Nie chciałem jej mówić całej prawdy. Na wszelki wypadek.

– A połem raczej nie będę – dodałem. – Jak widzisz, staram się po prostu postępować w zgodzie z własną zasadą, że nie można całe życie siedzieć na dupie.

– Tomuś, jeszcze nie wszedłeś do polityki, a już stajesz się wulgarny – dała mi buziaka w policzek.

– Razi cię słowo... dupa?

– Nie, o ile chodzi o moją.

Ania miała w sobie dużo energii. Dzięki temu mogłem zapomnieć o troskach dnia codziennego.

Rano usłyszałem, jak trzasnęły drzwi. Normalnie spałbym dalej, ale dzisiaj nie mogłem. Zwlokłem się z łóżka. Na stoliku niespodzianka – talerzyk z kanapką i szklanka soku pomarańczowego. Obok karteczka „Smacznego”. To było miłe. Najpierw jednak zapaliłem i czekając, aż zaparzy się kawa z ekspresu, zastanawiałem się, co dalej. Była środa, jutro miał zadzwonić do mnie jakiś działacz z Olsztyna. Nie podobała mi się sytuacja, w którą dałem się wkręcić, ale miałem przynajmniej umowę o pracę.

Włączyłem laptopa, by zrobić research i dowiedzieć się jak najwięcej o partii Lisonia oraz jego ludziach. Może naczelny miał rację i czekała mnie niezła zabawa?

Jan Lisoń swego czasu był prężnie działającym biznesmenem o wyglądzie amerykańskiego kongresmena. Według informacji, jakie znalazłem w Internecie, pewnego dnia sprzedał wszystko co miał i zajął się wyłącznie polityką. Jako poseł partii rządzącej szybko zyskał opinię bufona i ekstremisty. W konsekwencji został z niej wyrzucony. Stąd jego ambitny projekt, by stać się liderem nowej, dynamicznej siły politycznej na polskim nieboskłonie. Pozytywne komentarze w Internecie pod niepochlebnymi artykułami o nim i jego ugrupowaniu uzmysławiały mi ogromną rozbieżność między opiniami uznanych komentatorów politycznych a głosem ludu.

Zacząłem kombinować i kalkulować, jakie mam szanse na wygraną w wyborach. Byłyby jaja, gdybym został posłem. Zacząłem się śmiać. Złapałem talerzyk z kanapką, którą zrobiła dla mnie Anna. Zwykle nie jadałem śniadań. Odnosiłem jednak wrażenie, że muszę przygotować się do nowego stylu życia.

Telefon odezwał się, gdy dopijałem sok. Odebrałem połączenie z nieznanego numeru.

– Słucham.

– Pan Dymarczyk? Dzwonię z polecenia przewodniczącego Lisonia – odezwał się nieco sepleniący, niewyraźny głos, który nawet się nie przedstawił.

– Miał ktoś od was się odezwać, ale dopiero jutro. Nie podjąłem jeszcze ostatecznej decyzji. – Chciałem nabrać więcej szacunku do samego siebie i prowadzić negocjacje z o wiele korzystniejszej pozycji.

– Tak, prawda. Ale mamy mało czasu, a pan Lisoń... nasz przewodniczący, bardzo się niecierpliwi. Listy kandydatów na posłów i posłanki muszą być gotowe praktycznie na już. Bardzo nam zależy, by tak znany dziennikarz znalazł się z nami w jednej ekipie. – Gość stosował marketingowe sztuczki. Byłem tak znanym dziennikarzem, że selekcyjonerzy w nocnych klubach czasami kazali mi spadać bez podania przyczyny.

– Jaki dostałbym numer na liście wyborczej? – przeszedłem do konkretów.

– Mocną piątkę. Wie pan, tu nie ma znaczenia kolejność. Ten, który dostanie najwięcej głosów, choćby był na ostatniej pozycji, też może zostać posłem. – Przypomniała mi się rozmowa z naczelnym, który mówił zupełnie coś innego.

– Pozycja piąta jest słaba. Albo dostanę jedynekę, albo raczej się nie zdecyduje. – Grałem *va banque*. Nie wiem, co mnie podkusiło.

– Ja nie mogę podjąć takiej decyzji, ale pogadam z przewodniczącym. – Sepleniący, bezimienny działacz partii „Teraz Zmiana” spokorniał.

To był koniec rozmowy. Pożegnałem się z kołesiem i czekałem na kolejny kontakt. „Jeśli przeholowałem, sta-

ry się wścieknie i szlag trafi mój angaż” – pomyślałem. Zapaliłem papierosa, ale szybko go zgasiłem. „Nie możesz tyle palić, skoro pchasz się do polityki” – opieprzyłem sam siebie i poszedłem pod prysznic.

Na telefon nie musiałem długo czekać. Lisoń był niecierpliwy, widać rzeczywiście mu zależało, a to znaczyło, że moje notowania rosły.

– Dzień dobry, dzwonił do mnie Jedliński z Olsztyna. Możemy teraz krótko i konkretnie?

– Krótko i konkretnie, zawsze – odparłem.

– Spotkajmy się w restauracji „Amber” powiedzmy za godzinę. Tam byśmy wszystko ustalili.

– Ponieważ mam jeszcze trochę pracy, powiedzmy za półtorej godziny. Może być?

– OK. A zatem do zobaczenia – Lisoń pożegnał się, a ja pospieszenie zacząłem się ubierać. Żeby o tej porze dojechać w Aleje Ujazdowskie potrzebowałem około dwudziestu minut. Zastanawiałem się tylko, ile kosztuje kawa w tej knajpie, bo na nic innego w Pałacu Sobańskich zapewne nie będzie mnie stać. Spóźniłem się przepisowe pięć minut. Twarz Lisonia wydawała się pogodna, ale było w niej jeszcze coś, czego nie potrafiłem poprawnie odczytać. Wyglądał na człowieka, który nie lubi tracić czasu. Zaznaczył to od razu na początku rozmowy. I przeszedł do sedna.

– Zależy panu na jedynce. Nie dziwię się i gdyby to leżało wyłącznie w mojej gestii, już teraz bym panu ją obiecał, jednak to nie jest tak proste, jak się wydaje.

– Domyślam się, ale skoro mam swoją twarzą reprezentować pana partię, więc nalegam.

Nie wiem, dlaczego akurat teraz nie chciałem odpuszczyć. Była to chyba moja pierwsza polityczna kalkulacja. Uznałem, że zdobywając mandat posła, dostałbym nowy, czteroletni angaż, a dziwaczna umowa z naczelnym przestałaby obowiązywać.

– Dobrze. Niech będzie. Porozmawiam ze współpracownikami. Jestem za tym, by dostał pan biorące miejsce na naszej liście w okręgu trzydzieści pięć. Czyli jedynekę.

– Okręg trzydzieści pięć?

– Polska jest podzielona na okręgi wyborcze. Trzydzieści pięć to właśnie Olsztyn i parę powiatów wokół niego.

– No tak, oczywiście. W takim razie zawarliśmy umowę.

– Tak, jak najbardziej. Przepraszam, spieszę się na następne spotkanie. Czeką pana jeszcze tylko podpisanie kilku dokumentów, ale to już drobiazg. Jutro dotrze do Warszawy ekipa z Olsztyna, więc je panu podrzucą, nawet nie będzie musiał pan nigdzie jechać. Przynajmniej na razie. I przejdźmy na ty, w naszej partii jest taka zasada.

Podaliśmy mu rękę, kiwnąłem głową. Miałem nowego kolegę – lidera formacji, która rozpoczynała walkę o władzę w Polsce.

Prosto z restauracji pojechałem do Bogdana. Gdy byłem w drodze, zadzwoniła Anna. Powiedziałem, że będę za trzy godziny. Miała klucze do mieszkania, obiecała przygotować smaczną kolację. Dochodziła szesnasta.

Z Michalikiem spotykałem się ściśle według grafiku, jaki wyznaczył nam naczelny. Pierwsze moje teksty miały spłynąć już za miesiąc. Czułem się jak James Bond. Bogdan był w doskonałym humorze.

– Kasia w domu? – Rozejrzałem się po mieszkaniu.

– Nie, mamy ciche dni. Przynajmniej nie będzie nam przeszkadzała. Napijesz się?

– Daj spokój, nie mogę. Nie mam takiej wątroby jak ty.

– A myślisz, że politycy nie piją? – Roześmiał mi się w twarz i wyjął z lodówki pół litra.

Zdziwił się, gdy mimo wszystko poprosiłem o kawę. Przygotował sobie drinka i wyłożył mi plan pracy na najbliższe dwa miesiące. Nasz szef okazał się prawdziwym mistrzem. Zawsze to wiedziałem, ale zapoznając się z przedstawioną ramówką, uznałem, iż jest kimś więcej, na przykład pomiotem samego szatana.

Wychodziłem od Bogusia, który był niepokieszony, że opuszczam go o tak wczesnej porze. Dochodziła dwudziesta pierwsza. Ania zdążyła zatelefonować już kilka razy. Podejrzewałem, że się na mnie wścieknie. Wcisnąłem pedał gazu. Leciwy pick-up chrypnął i jęknął. Na budziku pokazał 80 km/h, ale miałem wrażenie, jakbym jechał ponad 120 km/h. „Przydałby się nowy samochód” – pomyślałem i zwoleńiem do siedemdziesięciu.

Co do reakcji Ani intuicja mnie nie zawiodła...

– Kolacja jest zimna, a tak się starałam! – Spodziewałem się, że to usłyszę, gdy tylko wejść do mieszkania.

– Nie gniewaj się, proszę. – Dałem jej buziaka. Nie pomogło.

– Idę zapalić na balkon – powiedziała zła jak osa.

Poszedłem za nią. W połowie papierosa już jej przeszło. Była ciekawa przebiegu spotkania z Lisoniem. Pochwaliła się też swoją nową aktywnością. Po zajęciach poszła na zebranie młodzieżówki partii, w której właśnie zaczynałem karierę. Nie spodobało mi się to, a może byłem o nią zazdrosny.

– No więc kim jesteś w tej młodzieżówce? Szeregowym członkiem?

– Chyba sam jesteś członkiem. Ja jestem w zarządzie krajowym.

– Moje gratulacje. Już się nie gniewasz?

– Jeszcze nie wiem. Chodź, odgrzeję ci kolację.

Poszliśmy do kuchni. Byłem głodny, w szerokim rozumieniu tego słowa.

* * *

[Koniec darmowego fragmentu książki]

SPIS TREŚCI

Rozdział 1 ...	7
Rozdział 2 ...	24
Rozdział 3 ...	47
Rozdział 4 ...	61
Rozdział 5 ...	73
Rozdział 6 ...	83
Rozdział 7 ...	113
Rozdział 8 ...	150
Rozdział 9 ...	182
Rozdział 10 ...	232

M. Grossman - godło literackie pisarza i dziennikarza urodzonego w 1974 r. na Pomorzu. Pod prawdziwym nazwiskiem publikował w tygodniku „NIE”, „Faktach i Mitach” oraz „Dzienniku Trybuna”. Debiutował skandalizującą minipowieścią erotyczną „Dwanaście”. Kolejną publikacją był zbiór opowiadań satyrycznych „Świniaki”, w którym prześmiewcze historyjki mają korzenie w polskiej rzeczywistości. Jest autorem o lekkim piórze i poczuciu humoru ocierającym się o purnonsens. Potrafi wnikliwie obserwować otaczający go świat i ludzi, dlatego jego książki są tak blisko życia.

Dobrze byłoby, aby *Sexpolis* była tylko znakomicie napisaną powieścią political fiction. Jest jednak czymś o wiele więcej. Lektura obowiązkowa przed najbliższymi wyborami i nie tylko!

Katarzyna Kozak
dziennikarka

Dostałem, przeczytałem, zachwyciłem (się), parafrazując słowa Cezara... Czyta się znakomicie - jak najlepszy kryminał. Proszę o jeszcze.

Aleksander Mikołajczak
aktor

Polityko, polityko co z ciebie za pani, że za tobą tęsknią chłopcy malowani? Czym kusisz, co obiecujesz, jaką moc masz w sobie?... Polecam książkę boleśnie demaskatorską i odważną, która na te pytania odpowiada. Odsłania polityczną kuchnię i jej zakulisowe rozgrywki. W kuchni tej króluje siedem grzechów głównych przygotowanych na różne sposoby. Świetny rodzimy political fiction, tylko czy aby na pewno fiction? Po takiej lekturze zostanę chyba zwolenniczką monarchii.

Lidia Stanisławska
piosenkarka, aktorka, felietonistka, pisarka

Ta pozycja ma wszystkie cechy literackiego tzw. dobrego pióra - niejednoznaczny i ironiczny język, przepełnioną humorem akcję, znakomicie skomponowaną z wątków obyczajowych oraz sensacyjnych, postaci o niekiedy dziwnie znajomych cechach z „tu i teraz”. Nie dość, że dobrze się czyta, to jeszcze w inteligentny sposób uświadamia, jak przewlekłe chory jest otaczający świat. Czy to powieść z kluczem? Polecam tę zagadkę!

Michał Pabian
dramaturg, literaturoznawca